Nr. 8. Lwów, 24 Lutego 1889. Rok VI.

NIEDZIELA



PISMO TYGODNIOWE DLA LUDU

Przedpłata wynosi:

W Cesarstwie Austryackiem:		Za granicą:	
Rocznie	3 złr. 50 ct.	*Rocznie*	8 mark.
Półrocznie	1 „ 75 „	*Półrocznie*	4 „
Kwartalnie	— „ 90 „	*Kwartalnie*	2 „

Redakcya i Administracya
we Lwowie — w gmachu sejmowym.
Rękopismów Redakcya nie zwraca. — Reklamacye nieopieczętowane wolne są od opłaty pocztowej.
Ogłoszenia oblicza się po 10 ct. za wiersz drobnym drukiem.

Od Administracyi.

Ponieważ wielu bardzo abonentów nie nadesłało przedpłaty, usilnie prosimy o uwiadomienie, kto sobie nie życzy odbierać „Niedzieli“, o odesłanie w takim razie otrzymanych numerów, lub też o uiszczenie należytości.

Pogawędki o naszej biedzie.

Pogawędki te nasze obudziły zajęcie naszych czytelników, odbieramy bowiem z różnych stron listy, w których wypowiadają swoje myśli o przyczynach naszej biedy. Niektóre z tych myśli są słuszne, inne bardzo niesprawiedliwe. Ale te listy nas cieszą niewymownie, bo okazują, że nasi czytelnicy rozważają to, co powiemy, że sami szukają przyczyny złego, że swoim rozumem pracują. A o to nam głównie chodzi, żeby nakłonić wszystkich do gruntownego rozważania i zastanawiania się nad sprawami całego kraju.

Mamy nadzieję, że listy te naszych czytelników będą coraz lepsze, tak że je będziemy mogli drukować w „Niedzieli“. Tymczasem odpowiemy na niektóre.

Jeden z piszących twierdzi, że lżej by było wszystkim, gdyby znieść autonomię, sejm, rady powiatowe, szkoły, nic nie wydawać na drogi, mosty, melioracye, przemysł, i t. d.

Zobaczymy, czy to myśl sprawiedliwa.

Czem jest autonomia dla obywateli kraju, powiemy później, dziś tylko zwrócimy uwagę, że jeśli „gospodarz i mieszczanin“ który pisał do nas, sądzi, że usunięcie autonomii zmniejszyłoby znacznie podatki, to się myli. Podatek krajowy wynosi przeszło 3 miliony, czyli coś około 56 ct. na głowę, podatki państwowe zaś dochodzą 69 milionów, czyli 11 zł. 50 ct. na głowę rocznie. Zniesienie więc podatku krajowego niewielką byłoby ulgą, bo trzeba pamiętać, że czynności spełniane dziś przez władzę i urzędników autonomicznych, musiałyby być wykonywane przez władze państwowe, które trzebaby pomnożyć, a na to powiększyć podatki państwowe. Więc pod względem pieniężnym zysku dla kraju by nie było.

Znieść szkoły byłaby to niemała oszczędność, to prawda. Ale cóż, kiedy szkoła jest konieczna. Gdyby nie szkoła, piszący do nas „gospodarz i mieszczanin“ o świecie bożym by nie wiedział, nie rozumiał spraw, o których w liście swoim do nas sąd swój wydaje, nie mógł by rozważać, czy Sejm jest korzystny czy nie, bo o Sejmie małoby co słyszał. Gdyby nie szkoła, nie mógłby czytać nawet „Niedzieli“, a tem więcej pisać do nas swoich myśli, ani żądać, abyśmy mu odpowiedzieli, ani naszej odpowiedzi poznać. Przecież i jemu szkoła się przydała. Znieść szkoły, ponętna rzecz; ale za granicą ich nie zniosą; tam owszem gminy wszędzie szkoły powiększają, dla tego ludzie są światlejsi, lepiej gospodarują, większe ciągną ze wszystkiego zyski. A my w coraz większą biedę

popadamy, bo zacząwszy od postronka, a skończywszy na kłódce, od glinianych naczyń aż do perkaliku lub chusty, wszystko przychodzi z zagranicy, pieniądze więc nasze ciągle milionami wychodzą z kraju, musimy więc biednieć i zbiednieć. A jakże tego wszystkiego się nauczyć? Tylko przez szkołę, bo szkoła jest jak rola, trzeba w nią wkładać, aby kiedyś mieć zyski. Za same towary bławatne płacimy rocznie zagranicy 36 milionów, za skórzane 13 milionów, za cukier 3 miliony, za wyroby żelazne 14 milionów, za maszyny blisko 3 i pół miliona, za sprzęty 4 miliony. W roku 1883 zapłaciliśmy za różne towary 83 miliony, czyli 12 złr. na głowę. A gdybyśmy to sami wyrabiali, każdego roku zostawałoby w kraju około 50 milionów. Oto co mogłaby zrobić szkoła. Przecież wartoby na nią łożyć, żeby taki zysk otrzymać. Dla tego szkół znosić nie można. Ale żeby o szkołach mówić, czy są użyteczne czy nie dla ludu naszego, trzeba wiele wiedzieć, trzeba znać kraje inne i co się tam dzieje, jak tam się ludność wiejska rządzi, jak co robi, jak gospodaruje, jakie ma szkoły. To mało; trzeba wiedzieć jak było w tych krajach temu lat tysiąc, temu lat 500, 300, 200, 100, 50. Wtedy się dopiero wie, co szkoła tam zrobiła, co może zrobić dla dobrobytu kraju.

Znieść wydatki na drogi i mosty? rozważmy.

Drogi w całym kraju kosztują rocznie około 700.000 złr. w. a., to jest około 11 ct. na głowę. Czy za 11 ct. rocznie nie warto mieć dobrej drogi? Łatwy dojazd ze wsi do miasta, a więc łatwiejsza sprzedaż płodów rolniczych, to jeden zysk. Zamiast poświęcić dwa dni po złej drodze, stracić tylko jeden dzień, jaka ogromna oszczędność czasu! To drugi zysk. Nie marnuje się tak chudoba. To trzeci zysk. A oszczędzanie zdrowia, trudu, wozu, zaprzęgu, a oszczędzanie sobie gniewu, zgryzoty, obrazy boskiej, uniknięcie nieraz kalectwa, czy to nie ogromne zyski?

Żeby zrozumieć, co to znaczą drogi, wyobraźcie sobie, bracie gospodarzu, co nie chcecie wydatków na drogi, co by się działo, gdyby dróg wcale nie było? Lada deszcz a wieś zamieniłaby się w więzienie, skąd ani się wydobyć, ani co wywieść, ani przywieść. U nas za mało dróg i mostów. Jakaż to różnica jechać z ciężarem a bodaj i bez ciężaru po zaniedbanej drodze gminnej, a po porządnie utrzymanej. A cóż dopiero gdy się wjedzie na żwirowkę.

Skończmy jeszcze co do wydatków na przemysł. W Świątnikach i w Sułkowicach są bardzo zręczni kowale, ale nieoświeceni, nie znający dobrych przyrządów ani narzędzi, zarabiają mało, pracują ciężko, bo nie uczyli się ulepszonych sposobów, żyją też w okropnej nędzy.

Wydział krajowy udziela im pomocy pieniężnej zakłada szkołę, posyła uczonych nauczycieli, sprowadza wydoskonalone narzędzia.

Zręczni od natury kowale, poczynają wyrabiać lepsze rzeczy, prędko, bez tak ciężkiego mozołu; wysyłają robotę za granicę, tam ją kupują bo dobra i oto 80 tysięcy zł. rocznie przybywa do kraju, kowale zarabiają więcej, wydobywają się z nędzy, powoli zaczynają oszczędzać i dochodzą do uzbierania jakiego takiego grosza, który coraz rośnie. Więcej zarabiając, lepiej żyją, czyli więcej wydają, wszyscy

---

Sierota.

(wspomnienie z przeszłości)

(Dokończenie).

Posadził ją koło siebie, prosił, żeby jadła, dolewał wina, a to zajęcie do reszty pomięszało pannę, bo przy każdej takiej grzeczności napotykała uśmiech na twarzach obojga państwa Kochanowskich.

Wieczór cały przeszedł na wspólnem opowiadaniu domowych wydarzeń; dalej wypadki polityczne dostarczyły przedmiotu do rozmowy; było to bowiem po rewolucyi w Petersburgu w 1825 roku, której uczestników Moskale Dekabrystami nazywają; a że do związku tego należeli i Polacy, były więc aresztowania i na prowincyi i w Warszawie, przewidywano, że sąd sejmowy będzie powołany do orzeczenia w tej sprawie, co wielce martwiło wojewodę, że będzie zmuszony sądzić ludzi, z którymi go łączyły dawne stosunki zażyłości.

Późno w noc odprowadziła gospodyni panią Kochanowską, a obaj mężczyźni męża jej do ich mieszkania, gdzie wkrótce błogi sen skleił im powieki, bo wspomnienie dobrego uczynku, który wydał owoc hojniejszy nad ich oczekiwanie, pociechą napawał ich serca.

Na drugi dzień, skoro zbudził się wojewoda, dowiedział się od sług, że gospodarz domu dawno dowiadywał się, czy już nie spi. Wstał więc, a kiedy przywdział szlafrok, wszedł pan Tarsza niosąc sam tacę z kawą, za nim służący z lulką, tytoniem i świecą. Spostrzegł to wojewoda:

— Cóż bo robisz, mój sędzio! — zawołał — czyż się to godzi?

— Alboż to pierwszy raz — odrzekł uśmiechając się pan Tarsza, i całując rękę wojewody, wypytywał, jak mu się spało.

Nadszedł niebawem i teść gospodarza, po kawie zapalono lulki, i wojewoda wypytywał obu o powodzenie gospodarskie, o sąsiadów i sprawy miejscowe.

Prosili oni go usilnie, żeby dzień ten przynajmniej z nimi spędził, ale on, tłamacząc się słabem zdrowiem żony, oznajmił im, że chciałby ściągnąć dziś do Kielc, ale z powrotem wynagrodzi sobie ten pośpiech.

Uradowani tą obietnicą, dziękowali obydwa serdecznie wojewodzie. Pan Kowalewski upewnił go, że to pięć mil tylko do przebycia, że dzień długi, droga dobra, gdyby tedy o drugiej lub trzeciej wyjechali, będą na czas, i stanęło na tem, że po wcześniejszym nieco obiedzie, puszczą się w podróż.

Przy końcu tej rozmowy wszedł służący wojewody, i z tą punktualnością sług miejskich oznajmił, że dziewiąta minęła.

— Już czas ubierać się — mówił wojewoda — nagotuj że mi do golenia.

— Golenia — ozwał się sędzia — wszak to mój departament.

— Dawne to czasy, mój sędzio! — odrzekł pan Kochanowski.

— O, dla uczucia wdzięczności nie ma przedawnienia, łaskawy panie — mówił sędzia.

więc około nich zyskują i rolnik i kupiec i rzemieślnik, a ten grosz z zagranicy rozchodzi się dokoła.

Czy Wydział krajowy, komisya przemysłowa lub Sejm źle zrobiliby, wydając raz kilkadziesiąt tysięcy?

Takich przykładów przytoczymy bardzo wiele później. Niech na dziś to wystarczy, na inne listy odpowiemy w przyszłym numerze.

Sprawy przemysłowe.

Otwieramy osobną rubrykę dla spraw przemysłowych, a w szczególności drobnego i domowego przemysłu, ponieważ chcemy zwrócić uwagę naszych czytelników na to źródło bogactwa krajowego.

Towarzystwo kowali w Sułkowicach jest czysto włościańską spółką produkcyjną, która istotnie za wzór służyć może, jak skutecznie w drodze stowarzyszania się działać można w interesie rozwoju przemysłu w kraju naszym, a szczególniej przemysłu domowego, zatrudniającego całe osady lub okolice. Na dowód przytoczymy niektóre ustępy ze sprawozdania o Towarzystwie kowali w Sułkowicach, złożonem ministerstwu oświaty przez pana Hauffe'go, profesora w szkole politechnicznej w Wiedniu, który w charakterze delegata ministeryalnego zwiedzał w roku zeszłym nowo utworzoną szkołę ślusarską w Świątnikach, a przy tej sposobności w skutek polecenia ministra oświaty wstąpił także do Sułkowic. Oto co pisze profesor Hauffe o Sułkowicach.

„Za przybyciem na miejsce, zaprowadzono mię najpierw do kancelaryi stowarzyszenia, gdzie była nagromadzona bardzo wielka ilość wyrobów miejscowych.

Następnie udaliśmy się na wędrówkę po kuźniach. Ilość tych kuźni w Sułkowicach i we wsiach przyległych oceniają na 300! W Sułkowicach samych spotyka się je rzeczywiście przy każdym domu, podobnie jak w Remscheid albo Schmalkalden (miasta w Niemczech), tylko rozumie się o wiele nędzniejsze. W tych kuźniach pracuje do 1000 robotników.

Ilość zamówień, napływających do Towarzystwa, mnoży się z każdym dniem, a na niektóre artykuły jest więcej zamówień, niż można wykonać. Zaledwie od roku istniejące stowarzyszenie miało już dotąd odbytu na *80.000 zł.* Cały kapitał obrotowy Towarzystwa wynosi jednak wszystkiego tylko 7.000 zł., a zatem mowy o tem być nie może, ażeby przy tak szczupłych środkach Towarzystwo mogło czynić jakiekolwiek wkłady na ulepszenie wyrobów i na zakupno maszyn.

Wyroby są niezmiernie różnorodne. Robotnicy posiadają wielką zręczność. Na wszystkich towarach, które oglądałem, znać robotę dobrą. Lecz pomocniczych środków, któreby ułatwiały robotę, nie ma tam żadnych. Kuźnie wyglądają dziś tak, jak zapewne wyglądały przed kilkuset laty. Ciemne, ciasne szatra, w głębi dwa ogniska, jedno przy drugiem, podsycane ręcznemi, odwiecznej konstrukcyi miechami, przytem dwa kowadła i najniezbędniejsze narzędzia — oto całe urządzenie warsztatowe. W ruinach zamku Gutenstein nad Renem (rzeka w Niemczech) zachowała się jeszcze dotąd dość dobrze w dziedzińcu średniowieczna kuźnia. Wygląda ona zupełnie tak samo, jak dziś kuźnia w Sułkowicach, tylko że porządniej jest wybudowana, a wiek jej obliczają archeologowie (t. j. ludzie badający starożytne rzeczy) na 500 lat! Przytaczam ten przykład dla objaśnienia, jak ci biedni ludzie w Sułkowicach mordować się muszą, jak dalece pozostali oni w tyle, jak im tedy musi być trudno niezmiernie utrzymać współzawodnictwo z nowożytnem kowalstwem, zasilonem mnóstwem środków pomocniniczych, o których oni jednakowoż nic a nic nie wiedzą.

Tyle jest pewnem, że cały przemysł kowalski w Sułkowicach musi zaginąć, jeżeli nie przyjdzie mu się w pomoc, i to prędko.

Według mojego przekonania, jedyną właściwą drogą do skutecznego podźwignienia kowalstwa sułkowickiego byłoby zerwanie z prowadzeniem drobnego przemysłu, a przekształcenie go na wielki przemysł fabryczny. Najważniejsze po temu warunki istnieją na miejscu: nader pojętni, spokojni, powodujący się łatwo robotnicy, tanie grunta, taniość robocizny, tania siła wodna. Z łatwością możnaby powiększyć odbyt Towarzystwa dziesięciokrotnie, tj. do wartości *niemal miliona*

— Ale tylko dla tak zacnego jak twoje serce! — odparł wojewoda.

— No, kiedyż tak łaskawy sąd o mnie, to ulituj się pan tego serca i nie odmawiaj mu jedynej jeszcze pociechy!

— O cóż chodzi, mów, proszę? — ozwał się wojewoda.

Pan Tarsza sięgnąwszy do kieszeni, wyjął z niej brzytwę i pokazując ją wojewodzie:

— Ta brzytwa — mówił — była początkiem powodzenia mego i chowam ją jak drogą pamiątkę; jak patrzę na nią, to mi staje przed oczyma i bieda dzieciństwa mego i pociecha, jakiej doznałem w nauce za łaską pańską; takie wspomnienie wywoływać to rozkosz prawdziwa; czyż odmówi mi pan łaskawy w tym razie współudziału swego?

— Czegóż więc żądasz? zapytał wojewoda.

— Żeby mi raz jeszcze wolno było tą brzytwą ogolić pana kochanego.

I do ust przyciskał rękę wojewody.

— Ależ żądasz rzeczy niepodobnej, mój sędzio, i ja to za żart biorę — mówił Kochanowski.

— Oj nie żart to, łaskawy panie — odrzekł sędzia — dla mnie to potrzeba serca, dla dzieci moich będzie nauka.

Chciał jeszcze wojewoda robić jakieś trudności, kiedy stary major ściskając go za kolana:

— Nie odmawiaj mu, łaskawco, tej pociechy! — wołał rozczulony.

Wojewoda pomyślał chwilę, zakrywszy twarz rękami, a potem machnął niemi.

— Ha! — zawołał — róbcie, co chcecie!

I zadumany oparł się o poręcz krzesła.

Zaledwie wymówił te słowa, sędzia uchwycił z rąk służącego miedniczkę, chwilę rozrabiał mydło, kiedy drzwi się rozwarły i ukazali się w nich pani sędzina, dzieci i domownicy. Skinął na nich sędzia, a kiedy zbliżyli się, wziął za ręce dwóch synków i w krótkości opowiadał całą historyę dzieciństwa swego, a kiedy skończył, otulił starannie ręcznikiem twarz swego dobrodzieja, namydlił ją i zaczął golić.

W tej chwili pomimo obecności kilkunastu osób, cichość się taka zrobiła, że słychać było chrzęst sunącej brzytwy; i ta drobna na pozór scena przybrała szczególny jakiś urok, bo dziwne wzruszenie przejęło obecnych.

Zwilżone oko sędziego błyszczało radością, na poważnej twarzy wojewody malowało się jakieś zadumanie, kilka razy odsuwał on golącą go rękę, żeby otrzeć łzy mimowolnie cisnące się; na wąsy starego majora łza także spadała, a ciszę przerywał płacz stłumiony i dzieci i matki.

Skończył nareszcie sędzia, otarł starannie twarz starca i z wybuchem radości rękę jego całował, a potem żona i dzieci poszły za jego przykładem.

Rozrzewniony wojewoda całował ich i błogosławił, a kiedy wychodzili obecni tej scenie, żona rzuciła się w objęcia sędziego i długi uścisk był najwymowniejszem tłomaczeniem ich uczuć.

W parę lat później pan Tarsza, pogodziwszy sądem polubownym ilość spraw prawem przepisanych, został ozdobiony

zł. rocznie. Potrzebaby jednak naturalnie do tego znacznego kapitału wkładowego, o wiele więcej niż 100.000 zł."

Oto jak pisze uczony Niemiec i znawca przemysłu, fabryk i robotników. Mamy robotnika zręcznego, ale nieoświeconego, dziś wraca do kraju 80.000 zł., gdy Towarzystwo pracuje od roku z kapitałem 7.000 zł., a mogłoby do kraju rocznie wpływać milion, gdyby robotnikom sułkowickim dać stosowną naukę i gdyby Sejm ze 150.000 zł. raz pożyczył.

Ignacy Domejko.

Na nic się nie zdały wszelkie usiłowania dzielnych, a gorąco miłujących swą ojczyznę synów, by ją w chwili upadku podnieść i ratować. Zapóźno przyszła wiekopomna konstytucya Trzeciego Maja, a nie pomogło także odwołanie się Kościuszki do ludu wiejskiego. Wtedy naród polski zaniechał na razie orężnych walk, aby tem skuteczniej pracować nad odzyskaniem sił, któreby w przyszłości mogły posłużyć do odzyskania niepodległości ojczyzny. Praca ta wewnętrzna zasadzała się na pracy, cnocie i oświacie. A były to czasy tak smutne, tak przygnębiające, iż tylko pamięć przeszłości tak świetnej tak potężnej, dodawała Polakom otuchy i mówiła niejako do nich, iż zginąć nie mogą.

Powstawały wówczas liczne szkoły i inne zakłady, mające na celu dobro narodu i poprawę społeczeństwa. W śród przygnębienia z jednej strony, a z drugiej gorączkowej pracy przyszedł na świat, jak gdyby na pocieszenie, największy mocarz słowa polskiego, Adam Mickiewicz. Kim był Mickiewicz i czem był dla Polski, nie potrzebuję dodawać, bo sądzę, iż każdy z czytelników o tem wie. Ale jak każde słońce posiada mniejsze gwiazdy, które naokoło niego krążą, tak też i Mickiewicz, będąc duchem wyższym, przyciągnął inne dusze, które pod przewodnictwem swego wodza służyły, jak mogły, swej nieszczęśliwej ojczyźnie. Jedni piórem, drudzy nauką, inni znów pracą na roli dobijali się lepszej przyszłości, mając ciągle wzrok wytężony w jedną stronę, a tą stroną było *dobro swej ziemi ojczystej.*

Do szeregów tych Mickiewiczowskich należał, w tych dniach zmarły, a nieodżałowanej pamięci druh wieszcza naszego, Ignacy Domejko. — Ignacy Domejko, to podobno ostatni już z owych szeregów. Urodzony w krainie krwi i łez tj. na Litwie, w roku 1802 we wsi rodzinnej Niedźwiadce w powiecie nowogrodzkim, z rodziców bardzo zamożnych, uczył się pilnie i bardzo młodo skończył uniwersytet tj. najwyższą szkołę w Wilnie, stolicy Litwy.

Jako uczeń uniwersytetu należał do grona młodzieży, mającej na oku pracę koło wykształcenia własnego, a później pracę dla kraju. Ten kierunek pracy młodzieży nie podobał się oczywiście Moskwie, która, chcąc tej pracy przeszkodzić, rozpoczęła prześladowanie, które nie ominęło i Domejki. Wydostawszy się z więzienia, jako mniej winnemu pozwolono wrócić do domu, podczas gdy współtowarzyszów rozpędzono po carstwie. Tu pracował na roli, aż do wybuchu wojny o niepodległość w r. 1830. Domejko, nie czekając wezwania, przyłączył się natychmiast do pierwszego oddziału, jaki spotkał, aby wziąć udział w walce za ojczyznę. Po przegranej wojnie wyszedł, jak tylu innych, z kraju i udał się na tułaczkę, zwrócony zawsze sercem i myślą ku swej ukochanej Polsce.

Przybywszy do Paryża, dał się poznać najznakomitszym uczonym francuskim, ci polecili go na profesora rządowi rzeczypospolitej Chili (czytaj Czyli) niezmiernie bogatego kraju w południowej Ameryce, który jednak szkół prawie żadnych nie posiadał. Domejko przybył do stolicy tego kraju, i zobaczywszy, że szkoły są źle urządzone, po kilku latach pracy przedstawił prezydentowi rzeczypospolitej, że szkolnictwo wyższe z gruntu trzeba przemienić, aby korzyść przynosiło, a zarazem doręczył mu pismo, jak ma być urządzone. Rząd powierzył Domejce wykonanie tej naprawy z warunkiem, że będzie rektorem tj. kierownikiem najwyższej szkoły. Trudno opisać, ile pokoleń profesorów, adwokatów, sędziów, uczonych wyszło z tego uniwersytetu czyli najwyższej szkoły, jaką zyskał wdzięczność, cześć i miłość całego narodu. Dwadzieścia kilka lat był rektorem, obsypany tytułami, godnościami, zaszczytami. Ale pracował z prawdziwym zapałem Przebiegał kraj, który opisał, wskazując jego bogactwa i od cudzoziemca Domejki dowiedzieli się mieszkańcy Chili, jakie skarby kryją się w łonie ich ziemi; był inżynierem i górnikiem, pisał dla nich uczone dzieła i książki dla szkółek ludowych, dla szkół średnich itd., bo takich podręczników nie było.

Oto jak opowiada swoje przybycie Chili i swój odjazd w 46 lat później.

„Było to 17 maja 1838 roku, w dzień jesienny; świtać poczynało, śnieg gęsty padał z silnym wiatrem od zachodu. Zmęczony 300 milową konną po stepach podróżą, szarym tułaczym płaszczem owinięty, zziębły, skurczony, na chudej szkapie, bez grosza, wdzierałem się na wysoki o 5.000 metrów nad poziom morza podniesiony grzbiet Kordyliery Uspallata. Oczu trudno było otworzyć; oddech przyspieszony, droga szła stromo, w zamieci ukryta; uparta twardousta mulica poczuło, żem nią kierować nie umiał, już gdzieś mię na bok w przepaść ciągnęła, gdy na czas podbiegł arriero (przewodnik), chwycił za uzdę i uratował. Z trudem, Opatrznością tylko Bożą wiedziony, około południa do pierwszej dobiliśmy się kasuczy czyli pustej chałupy, gdzie na gołej ziemi, w niemiłym orszaku, w dymie od tytoniu i od kurzącego się chróstu resztę dnia i noc całą przecierpiałem. Burza nie ustawała, wysokie kupy śniegu dokoła osaczyły dom i zaledwie na drugi dzień po południu uspokoiło się niebo, czarne chmury spuszczać się na dół poczęły i rozdzielać się między wąwozy, a choć przymglone, ukazało się słońce. Nie tracąc czasu w obawie, by druga gorsza nie nadeszła burza, jęli się arriero i jego towarzysze do odkopywania śniegu; niełatwo było wydostać się na mniej niebezpieczną drogę. Trzeciego dnia na szerszą schodzimy dolinę, niebo pogodniej zaczyna przyświecać, ukazują się już chałupy wieśniacze, dalej małe mia-

---

gwiazdą św. Stanisława, a na sejm koronacyjny wybrano go deputowanym obwodu, w którym mieszkał.

Zasiadł tedy w izbie poselskiej, i w czasie powstania roku 1830 odznaczył się energicznem i zdrowem zapatrywaniem się na sprawy krajowe. Był on z liczby tych, co raz uznawszy powstanie narodowe, doradzali jedyny rozumny środek, to jest wejście na Wołyń i Litwę, gdzie można było dać powstaniu wielkie rozmiary i przeciągnąć korpus litewski w szeregi polskie.

Wojewoda jednych z nim był zdań politycznych, a to ścisnęło bardziej jeszcze węzeł łączący tych dwóch ludzi.

W rok po powstaniu umarł wojewoda.

Cała Warszawa wylęgła na ulice, żeby uczcić pamięć jego; od Mazowieckiej ulicy, gdzie mieszkał, do kościoła OO. Kapucynów, nieprzerwane szeregi powozów postępowały za karawanem; senatorowie nieśli ciało zmarłego, a w kościele nasz deputowany kielecki w pięknej mowie skreślił pełen zasług żywot nieboszczyka; wyraził on, że dopełnia tego obowiązku jako świadomy rzeczy, od trzydziestu bowiem lat, mówił, zaszczycał mnie łaską i zaufaniem swojem.

Na drugi dzień piśmienny odebrał tego zaufania dowód, kiedy bowiem w trybunale otworzono testament wojewody, pokazało się, że pana Tarszę zrobił wykonawcą ostatniej woli swojej, a usprawiedliwiając ten wybór, dodał: „umieram spokojny o dobro wnuków moich, nie mogę bowiem w godniejsze ręce złożyć pieczy nad nimi".

steczko Sta Rosa, potem większe ludniejsze San Felipe. Przechodząc koło nich, widzę lud mnogi, o twarzy ciemnej i ludzi białych; do nikogo przemówić, nikogo zrozumieć nie umiem, patrzą na mnie jak zazwyczaj na cudzoziemca. Na piąty dzień, niemy i niewesoły, dojeżdżam do wielkiego Oceanu, widzę rozbijające się z szumem o brzegi jego fale, a jeszcze sto mil drogi zostawało do miejsca przyszłego dla mnie pobytu; droga bezludna, skalista, kolczastemi kaktusami najeżona. Ostatniego dnia podróży było trzęsienie ziemi.

Takie było moje przybycie do Chili.

We czterdzieści sześć lat potem, dnia 23 maja 1884 roku, w bogatej, wspaniałej stolicy, 150.000 mieszkańców liczącej, gwarny orszak przyjaciół i przedniejszych obywateli, posłów sejmowych i senatorów rzeczypospolitej, młodzież szkolna i uniwersytecka, dwaj synowie i liczni krewni nieboszczki żony mojej, towarzyszą mi do dworca przepysznie zabudowanej stacyi kolejowej. Tam muzyka gra hymn narodowy chilijski, huczne okrzyki: *viva! viva!* witają mnie jakby zwycięsko wracającego z wojennej wyprawy, a urząd kolejowy otwiera mi wagon honorowy, którym tylko sam prezes rzeczypospolitej, jego ministrowie i uprzywilejowane osoby jeżdżą. Tu jeden uczeń instytutu narodowego przemawia do mnie, winszuje, że zobaczę kraj mój rodzinny i powołuje, abym się nie ociągał z powrotem do tej drugiej ojczyzny, sercem zdobytej. Ze wzruszenia jakiego doznałem, słów kilka zaledwie wymówić zdołałem i zakończyłem szczerym wykrzyknikiem: *Viva Chile!* — W tym momencie trzykroć ryknęła lokomotywa i wśród tysiąca okrzyków, przy odgłosie muzyki ruszył tryumfalny pociąg. Jeden senator i dwaj posłowie sejmowi, wielu z nauczycieli i dawnych uczniów, przeprowadzają mnie w wagonie do portowego miasta Valparaiso, gdzie jeszcze dwa dni schodzą na głośnych przyjęciach, proszonych obiadach i świetnych owacyach. Trzeciego dnia po południu, przeprowadza mnie i synów moich do parowca „Britania", na szybko uwijających się czółnach, niezliczony orszak obywateli i na pokładzie okrętu, wśród mnogich okrzyków, spotykam Ojca Augusta, przełożonego misyi na Oceanie Spokojnym i prezesa senatu pana Rafała Lawain'a".

Taki był wyjazd Domejki.

Staruszek już chciał zobaczyć swoję rodzinną ziemię i puszcza się przez Ocean. Co to jest miłość Ojczyzny! Spieszy co prędzej, aby jeszcze raz znaleść się śród rodaków, usłyszeć dźwięki mowy ojczystej, zwiedza Litwę, Warszawę, Kraków, gdzie go przyjmują z czcią i uwielbieniem. A na podziękowanie Bogu, że mu pozwolił znowu ujrzeć ziemię rodzinną, puszcza się do Rzymu i do Ziemi świętej. Sprawy rodzinne powołują go do Chili, jedzie więc z nowu przez Ocean, aby załatwiwszy te sprawy, wrócić do Krakowa i tam, przy grobach królów polskich, przeżyć ostatnie godziny i głowę do snu wiekuistego na ziemi ojczystej złożyć.

Ale trudy podróży osłabiły siły starca i gdy przybył na miejsce zachorował na krótko, bo w parę dni po przybyciu usnął na zawsze. Dnia 25 stycznia, telegram do Władysława Mickiewicza, syna wielkiego poety, przyniósł tę smutną wiadomość, że tyloletni pracownik już spoczął. *B.*

Jak Wojciech swoich synów wychowywał

i czego się z nich doczekał?

Opowiedział: STEFAN ZALESKI.

(Dokończenie).

Bartłomiej u Wojciecha.

Wojciech. Hej, matka, poślij no tam Kubę jeszcze po pół litra gorzałki. Musimy zapić ten frasunek. Słyszeliście, Bartłomieju, chciał mi tu dziś jegomość chłopaków karać, jak jakich poniterów.

Bartłomiej. Tegoby jeszcze brakowało! No i cóżeście mu powiedzieli?

Wojciech. Powiedziałem krótko, że ich nie dam bić i basta. Obiecał, że ich ściągnie do wójta i powiedział, że ja sam zły przykład dzieciom daję i że ich na ostatnich wisusów wychowuję. A niechże tam! Ale com postawił na swoim, tom postawił. Ho, ho, czekajcie, inaczej sobie ja teraz pocznę z tymi skarżycielami, bo ja sobie nie dam lada komu wbijać zębów we własne dzieci.

Bartłomiej. A słusznie, bo cóż to komu do cudzych dzieci. Każdy niech swoich pilnuje. Nie prawdę mówię?

Wojciech. Wy jeden prawdę mówicie. Zaraz poznać życzliwego sąsiada. Hej, matka, poślijno jeszcze po litr gorzałki, tylko raźno.

Żona. Cóż to, czy znów pijatykę rozpoczynasz? A nie słyszałeś, co ci jegomość powiedział dopiero przed chwilą?

Wojciech. Ty mi tu nic nie przypominaj i kazania nie praw, bom się ich dość dzisiaj nasłuchał. No, dawaj, masz-li dawać.

Żona. Nie dam, bo już dość tego. Nie potrzebuję, żebyś tu potem znów breweryе wyprawiał i plugawstwa opowiadał jak zawsze, kiedy sobie zalejesz pałkę.

Wojciech. Stulisz gębę, babsama... bo jak zacznę do ciebie gadać po madziarsku, to będzie źle z tobą.

Żona. Widzicie, Bartłomieju, to zawsze tak... I dziwić się tu potem, że dzieci klną i drugich za łby wodzą, kiedy własny ojciec taki im przykład daje. Oj dobrze ci jegomość powiedział, że jaki ojciec taki syn.

Wojciech (zrywa się ze złością, żona wybiega na pole). No przyjdziesz mi tu jeszcze! — Kuba, masz tu dwie szóstki, przyniesiesz za nie gorzałki, tylko się zwijaj!

Kuba. Tatusiu, adyć tu jeszcze jest kapka we flaszce.

Wojciech. To dla ciebie, świdrygale jakiś, ale jak mi się prędko nie uwiniesz, to cię tym kijem za wszystkie czasy wysmaruję.

Kuba. Przecie ja większy niż kij, a zresztą, czy to nie wiem, gdzie się drzwi otwierają?

Wojciech. Będziesz się jeszcze ze mną przemawiał? Czekaj, dam ja ci tu zaraz (wstaje).

Kuba. Tatusiu, a widzieliście, jak kolej jedzie? Oto tak: fiu, fiu, fiu, (ucieka na pole).

Bartłomiej. Ha, ha, ha! A to dopiero ucieszna bestyjka!

Wojciech. No, widzicie, i jakże tu karać takie dziecko? Powiadam wam, że choćby się człek nie wiedzieć jak zgniewał na którego, a jak zaczną figle pokazywać, a do śmiechu gadać, tak musi człeka złość ominąć.

Bartłomiej. E, co wy tam uważacie na ludzkie gadanie. Nie wiecie to, jak to powiadają: jeszcze się ten nie urodził, coby ludziom dogodził.

Kuba (wpada zadyszany). Gorzałka przyjechała już koleją.

Wojciech. A cóżeś ty tak mało przyniósł? Tego nie będzie więcej, jak kwaterka. Pewnieś wypił z połowę przez drogę.

Kuba. Toście mogli sami iść, kiedy się wam mało zdaje, a teraz mię o nic nie pomawiajcie.

Wojciech. Patrzcie-no, mnie się zdaje, że ta szelma pijana. A chodźno tu, chuchnij na mnie!

Kuba. He, he, choć chuchnę, to nic nie poznacie, boście sami pijani, a zanim się wytrzeźwicie, to i mnie gorzałka z gęby wywietrzeje.

Wojciech. Cóż z nim poradzi, kiedy hultaj na wszystko znajdzie wykręty. E, co tam, pijmy, Bartłomieju! Coś z nich przecie być musi. Do was, sąsiedzie!

W dziesięć lat później.

Wojciech u Michała.

Wojciech. Mój Michale, przyszedłem was też prosić, abyście mi schowali te pieniądze. W tem zawiniątku jest dwadzieścia reńskich, cały mój majątek. Chowam je na pogrzeb,

ale mi je Kuba gwałtem chce porwać. Weźcie, u was to będzie w bezpiecznem schowaniu.

Michał. To już bardzo źle, kiedy ojciec przed własnem dzieckiem musi wynosić z domu pieniądze.

Wojciech. Oj źle, źle, ale cóż poradzę? Dopókim był zdrowszy, to nie mieli jeszcze takiej śmiałości, ale od czasu tej nieszczęsnej choroby, to już sobie rady z nimi dać nie mogę. Co namłócą, to już ci z tem do karczmy na gorzałkę. Nie ostoi się przed nimi ani kura, ani gęś, ani słoma, ani przyodziewka, wszystko idzie do żyda. A jak już nie ma nic w chałupie, to obces do mnie i dawaj ojcze pieniędzy. No, i rad nie rad muszę wywlec ostatni grosz i dać im na zbytki.

Michał. I doprawdy dajecie? No, tegom się po was nie spodziewał!

Wojciech. A cóż mam robić? Jak nie dam któremu, to spojrzy z podełba i zgrzytnie zębami, aż mię mróz przejdzie po kościach. Oj tak, mój Michale, wszystko opowiedział, tobyście zapłakali nademną. Sterali mię, zniszczyli, matkę do grobu wpędzili, a i mnie już pono nie wiele się należy na tym świecie. Oj doczekałem się dzieci, doczekałem się z nich pociechy! Jeden w kryminale gnije, a drugi na rodzonego ojca się zrywa ..

Michał. Jak to, to nie wypuścili jeszcze Mikołaja?

Wojciech. Nie wypuścili i nie wypuszczą, bo podobno znaleźli przy nim rzeczy jakieś z tej kradzieży.

Michał. Hm, to może i po Kubę przyjdą, bo powiadają, że razem wtenczas byli.

Wojciech. A może, bo się czegoś lęka i wciąż przez okno wygląda. Dziś rano mówił, że pójdzie w świat szukać roboty i chciał koniecznie na drogę pieniędzy, alem mu nie dał, bo jakbym umarł, to nie byłoby mię nawet za co pochować.

Michał. E, co wam ta śmierć zawsze na myśli! Czyście to już taki stary?

Wojciech. Mój sąsiedzie, wszyscyśmy z kraja, a ja bliżej jeszcze, niż każdy inny. W mojej słabości i przy takiem zmartwieniu nie znaczy się długie życie. A kto wie, czy mi się własne dziecko nie przysłuży...

Michał. Kto, Kuba? E, nie plećcie byle czego, bo wam się tylko jakieś strachy roją po głowie.

Wojciech. Może to i strachy, może... Ale co tam o tem gadać! I cóż? weźmiecie do siebie te pieniądze?

Michał. Ha no, skoro sobie tego koniecznie życzycie, to jużci i trzeba wziąć.

Wojciech, Bóg wam zapłać! Ale niechże już idę. Zostańcie z Bogiem!

Michał. Idźcie z Panem Bogiem!

(Dokończenie nastąpi).

KORESPONDENCYA „NIEDZIELI“.

Dnia 3 b. m. odbyło się w Sieniawie szczególniejszego rodzaju uroczystość, mianowicie *złotego wesela* p. Tomasza i Karoliny Sękiewiczów, obywateli tamtejszych.

Czcigodni jubilaci mieli to szczęście, że im błogosławił ich własny syn W. ks. Feliks Sękiewicz, pracujący już od lat kilku przy kościele w Rudniku, a uczynił to w asystencyi miejscowych Pasterzy W. ks. kanonika i dziekana M. Hebdy, i ks. wikarego J. Szałajki. Całe miasto wypadkiem tym było poruszone. Ludu będącego świadkiem tak rzewnej ceremonii było tyle, ile nawet w czasie odpustów letnich rzadko widzieć się daje.

Jubilatów przyjął w kościele u drzwi wchodowych syn, otoczony czcigodnymi kapłanami, poczem, pokropiwszy ich święconą wodą, otoczonych synami zdala przybyłymi, córką i wnukami, wśród śpiewu chórowego i mnóstwa świateł zawiódł przed wielki ołtarz, gdzie usadowiwszy ich na honorowych miejscach, odprawił uroczystą sumę. Po skończeniu jej odbyła się dopiero właściwa ceremonia.

Zaprawdę rozrzewniająca była to chwila tak dla jubilatów, jak dla licznie zgromadzonego ludu, kiedy po odśpiewaniu „Veni Creator“ wśród salw moździerzowych, podawał Syn kapłan do rąk rodzicom swoim symboliczną laskę pasterską, grubo złoconą i opatrzoną u góry krzyżem, bukietem z długą białą wstęgą, zwłaszcza gdy mówił wśród łez do nich: „. . . . . *Weźmijcie, rodzice ukochani, tę laskę krzyża dla wsparcia waszej starości i dalecy bądźcie od tego, abyście się mieli w czem innem przechwalać, jak tylko w krzyżu Jezusa Chrystusa*“.

Jakaż radość przebijała się znów na obliczu wszystkich w chwili uroczystego „Te Deum laudamus“ na samą myśl, że rodzice, szanowani w mieście całem, doczekali *złotych lat* (to jest 50 lat w małżeństwie przeżytych), a zwłaszcza tego dostąpili szczęścia, że im własny syn błogosławił na dalsze długie jeszcze lata małżeńskiego pożycia.

Zaprawdę mało komu Bóg takiego udzielił wesela, toż i Sieniawa długo ten dzień trzeciego lutego bieżącego roku pamiętać będzie.

ZE ŚWIATA.

Moskwa.

Wiele rozprawiają o podróży, którą car ma przedsięwziąć w lecie. Według tego, co piszą, car wyruszyłby z Petersburga morzem i przyjechał do jednego z portow (przystani), na brzegach morza Bałtyckiego. Twierdzą nawet, że cesarz Wilhelm kazał już przygotowywać jeden ze swoich nadmorskich pałaców, aby przyjąć cara Aleksandra III.

Te odwiedziny miałyby znaczyć, że stosunki Moskwy z Niemcami niby się naprawiają, ale pomimo to, zdaje się, że Moskwa dla tego udaje pokojowe zamiary, ponieważ boi się wojnę rozpocząć, dopóki istnieje przymierze Niemiec, Włoch i Austryi. Przez ten czas ciągle gromadzi wojska, przygotowuje się aby, wybrać odpowiednią chwilę i wtedy na Niemcy lub na Austryę napaść, kiedy te państwa nie będą już związane umową, która zapewnia jednemu i drugiemu wzajemną pomoc.

Japonia.

Kraj ten, złożony z kilku wielkich i bogatych wysp leży jeszcze za Chinami, na Oceanie Wielkim czyli Spokojnym. Do niedawna cudzoziemcy nie mogli w tym kraju mieszkać, zaledwie w kilku tylko miastach nadbrzeżnych, a wnętrza kraju nikt nie znał.

Japończycy są poganami i okrutnie prześladowali wszelką inną niż ich wiarę. Dopiero od lat kilkunastu nastąpiła zmiana. Do Europy przybyło wielu Japończyków, którym się podobały urządzenia europejskie. Władca ich czyli M i k a d o zapragnął te urządzenia wprowadzić w swoim kraju. Wysłano mnóstwo młodzieży do Paryża i innych miast w Europie dla kształcenia się, sprowadzono Niemców, Francuzów, Anglików, pozakładano szkoły, założono dzienniki, na dworze cesarskim zaprowadzono stroje europejskie. Teraz zaś jednę jeszcze zrobiono zmianę, mianowicie M i k a d o, który rządził sam i jego wola była wszystkiem, dnia 11 b. m. ogłosił konstytucyę; zrzekł się więc władzy swojej, a rządzić będzie parlament czyli Izba posłów i Izba wyższa; zaprowadzona będzie swoboda religijna, czyli, że żadnej religii prześladować nie będą.

Niemcy.

Widocznie, że Bismark dokuczył zanadto wielu ludziom, kiedy z wielu stron naraz starają się podkopać zaufanie cesarza Wilhelma do niego i ciągle jeszcze o jego następcy piszą. Ks. Kanclerz żelazny ma syna, hr. Herberta Bismarka, i chciał bardzo jego na swojem miejscu zostawić. To się wielkim dygnitarzom bardzo nie podoba, bo możeby sami chcieli kanclerzami zostać i dla tego przeciw obu Bismarkom mocno

występują. Przeciw niemu jest także cesarzowa Augusta, babka cesarza i cesarzowa Wiktorya matka, którą był tyle razy obraził.

Francya.

Jak przewidzieliśmy i jak napisaliśmy w 7-ym numerze „Niedzieli“, rząd upadł. W głosowaniu nad sprawą zmian w konstytucyi Izba posłów oświadczyła się znaczną większością głosów przeciw ministerstwu, na czele którego stał prezes ministrów Floquet (czytaj Floke) i ten zaraz zrzekł się rządów. Prezydent Rzeczypospolitej z trudnością nowy rząd stara się utworzyć, bo nie wiadomo, czy ten nowy rząd będzie miał większość Izby za sobą. Powoływał wielu znakomitych mężów, aby stanęli na czele ministerstwa, ale jedni odmówili, a drugim nie udało się rządu złożyć.

Niemcy się z tego cieszą, bo im większy nieporządek we Francyi, tem Francya słabsza. Gdyby rząd francuski był silny i miał kraj za sobą, to prędzejby Francya mogła się odważyć na wojnę przeciw Niemcom, czego się rząd niemiecki bardzo boi, bo wtedy i Moskwa na Niemcy by się rzuciła.

Włochy.

Rozruchy robotników wybuchają w wielu miastach. Rząd obiecał w Izbie, że się sprężyście zajmie stłumieniem tych rozruchów. Mówią, że te bunty robotników wywołuje Francya za to, że Włochy przystały do sojuszu z Niemcami.

Serbia.

Dziennik urzędowy ogłasza ukaz królewski, nakazujący nowe urządzenie całej armii serbskiej. Najważniejsze postanowienia tego nowego urządzenia są: Armia dzieli się na 5 okręgów dywizyjnych z 15 pułkowemi i 60 batalionowemi okręgami. Stałe wojska obejmują 5 pułków piechoty po 4 bataliony; jednę brygadę kawaleryi z 3 pułków, każdy po trzy szwadrony; 5 pułków artyleryi po 6 bateryj; jednę konną baterye z 6 działami; jeden pułk artyleryi górskiej z 55 bateryj, każda z 4 działami; jeden batalion artyleryi fortecznej, składający się z 4 kompanij fortecznych i 1 kompanii pociągowej; jeden batalion inżynieryi, składający się z 5 kompanij pionierskich; jeden batalion inżynieryi, składający się z 3 kompanij dla kolei żelaznych i służby telegraficznej, półbatalion dla budowy mostów, z 2 kompanij złożony; 5 kompanij sanitarnych, 5 szwadronów pociągowych i 5 oddziałów dla zaopatrzenia armii.

Sprawy krajowe.

Wydział krak. Tow. oświaty ludowej podaje do publicznej wiadomości, iż obowiązki delegatów Towarzystwa na prowincyi łaskawie przyjąć raczyli Wni pp.: adw. Dr. Antoni Serafiński w Bochni, adw. Dr. Antoni Surowiecki w Tarnobrzegu, Dyr. Franciszek Groele w Wieliczce (dla okolicy), Dr. Józef Kownacki w Wieliczce (dla okolicy) Dr. Karol Zaleski w Sanoku, X. Fr. Gołba w Jordanowie, Aniela Smarzewska w Wyszatycach, adw. Dr. Jan Malec w Andrychowie, Maurycy Stankiewicz w Krakowie, adw. Dr. Karol Iżyczek-Maciejowski w Samborze i X. Feliks Rudnicki w Golcowej, za co im Wydział publicznie serdeczne wyraża podziękowanie. W miarę potrzeby przystąpi Wydział do wyboru większej liczby delegatów w tych powiatach, gdzie znaczniejsza liczba czytelń ściślejszego nadzoru i bliższej opieki wymagać będzie.

Z całego kraju nadpływają liczne bardzo podania i prośby o zakładanie nowych czytelń lub wyposażenie istniejących w większą liczbę książek i czasopism ludowych. Głosy te dochodzą nas z gmin wiejskich, jakoteż z takich miast i miasteczek, gdzie dotychczas nie pomyślano o stworzeniu ogniska oświaty dla miejscowej ludności. Wydział Towarzystwa z przykrością niestety liczyć się musi z nader szczupłemi środkami materyalnemi, jakiemi dotychczas rozporządza i nie może mimo najlepszych chęci ani tak szybko mnożyć liczbę czytelń ani wyposażać w tak znaczną liczbę książek, jakby tego wzrastające potrzeby umysłowe naszej ludności wymagały. Z tem większą wdzięcznością przyjęliśmy udzielone nam przez Wysoki Sejm krajowy, przez świetne Rady powiatowe: krakowsko bielską, wadowicką i myślenicką i Radę miejską krakowską subwencye, a niechaj nam wolno będzie wyrazić nadzieję, że również reszta gmin i powiatów, oraz znaczniejsze instytucye kredytowe nie odmówią nam swej pomocy w podjętej pracy nad podniesieniem oświaty polskiego ludu.

Odzywamy się również do ofiarności i patryotyzmu wszystkich szczerze kraj kochających obywateli, upraszając wszystkich bądź o wspieranie Towarzystwa w charakterze członków stałych, bądź o jednorazowe ofiary w pieniądzach i książkach odpowiedniej treści.

W ubiegłych dwóch miesiącach założył Wydział 15 nowych czytelń (L. 123—137) w Samocicach poczta Bolesław, Mokrzyszowie p. Tarnobrzeg, Jastrzębi p. Ciężkowice, Okulicach p. Ujście solne, Zembrzycach p. Sucha, Białym Dunajcu p. Poronin, Nowem Bystrem p. Czarny Dunajec, Jordanowie, Tarnobrzegu, Bystrej p. Jordanów, Tuszowie narodowym p. Mielec, Wiśniowej, Wrzawach p. Nadbrzezie, Gorzkowie, p. Bochnia, Gorczycach p. Bochnia, Łapczycy p. Bochnia i w Bachowicach p. Zator. Na najbliższej sesyi Wydziału przedstawione będą do założenia czytelnie w 13 dalszych miejscowościach powiatu krakowskiego, wielickiego, myślenickiego, tarnowskiego, limanowskiego, niskiego, rzeszowskiego i w domu karnym w Nowym Sączu. W ten sposób dojdziemy wkrótce do przeważnej liczby 150 czytelń ludowych.

W końcu Wydział ma zaszczyt wyrazić serdeczne podziękowanie Wielebnemu duchowieństwu, Wnym pp. właścicielom dóbr i kierownikom szkół ludowych i kółek rolniczych za łaskawy współudział przy uroczystościach otwarcia nowych czytelń ludowych.

Z Wydziału Towarzystwa oświaty ludowej:

Ks. Dr. Józef Pelczar. *Dr. Juliusz Leo.*

Sprawozdanie ministerstwa spraw wewnętrznych konstatuje, że wzrost ludności w Galicyi w r. 1888 był większy niż kiedykolwiek, a stanowczo większy niż we wszystkich innych prowincyach austryackich.

Do Rady powiatowej cieszanowskiej, przy wyborze uzupełniającym z grupy gmin wiejskich, wybrany został pana Ludomir Morawski, przełożony obszaru dworskiego w Łowczy.

Kółku rolniczemu i czytelni ludowej w Bachowicach darował hr. Artur Potocki 100 zł., a 300 zł pożyczył bez procentu na lat 3.

Garbarnia. „Kurjer codzienny“ donosi, iż jeden z poważniejszych warszawskich domów garbarskich rozpoczął rokowania celem założenia w okolicach Krakowa garbarni na wielką skalę. Powodem tego jest wysokie cło na skóry wchodzące do Galicyi, skutkiem czego stosunki handlowe nie mogły być zawiązane.

Sejm morawski uchwalił na płace nauczycieli szkół ludowych i wydziałowych w roku 1889. 3,050.000 złr. Jak daleko nam do tego!

W Kołomyi otwartą będzie z dniem 1. września b. r. szkoła ludowa izraelicko-polska. Przełożony tejże szkoły, Dr. Milgrom ogłosił w dziennikach krajowych konkurs na posadę kierownika z płacą 750 złr., nauczyciela starszego z płacą 600 złr., nauczyciela młodszego z płacą 300 złr. i nauczyciela religii mojżeszowej z płacą 500 złr.

Nowiny z kraju.

Ksiądz Ludwik Krzemiński, proboszcz parafii Gaj pod Krakowem, urodzony w Sadłowicach, w r. 1836 w dyecezyi sandomierskiej w królestwie Polskiem zmarł. Duchowieństwo dyecezyi krakowskiej traci w zmarłym zacnego kolegę, a parafianie duchownego pasterza, który wysokiemi przymiotami umysłu i serca, uczynnością dla wszystkich, dobremi radami, popieranemi czynem, umiał stać się przykładem gorliwego i wzorowego spełniania zaszczytnych obowiązków kapłana Polaka. Sp. ksiądz Krzemiński należał w 1863 r. do uczestników walki o wolność, po upadku powstania czas długi tułać się musiał na obczyźnie. W Paryżu przebył ciężkie chwile oblężenia, po r. 1870 dopiero powrócił do kraju, aby między polskim ludem oddać się pracy cichej a płodnej w nieocenione korzyści. Powszechne poważanie wśród obywateli, a szczera miłość parafian, o których dobro moralne jak i materyalne dbał z równą gorliwością, były jedyną nagrodą trudów tych, zaiste godnych polskiego kapłana i obywatela patryoty.

Powódź. Wisła w powiecie brzeskim wystąpiła w niedzielę dnia 3 lutego z brzegów, i zalała część wsi Grabie, bez niebezpieczeństwa dla ludzi i zwierząt domowych. Żandarmerya od trzech dni czuwała w zagrożonych ulicach. W sobotę ruszył lud na Wiśle, w powiecie bocheńskim. W Niepołomicach utworzył się zator, jak w roku zeszłym. Zator stał od Mszczecina na długość 6 kilometrów. W Pasterniku woda szła przez wał. Zarządzono opróżnienie zagrożonych domów. W niedzielę rano powódź zajmowała 30 morgów obszaru; strat w ludziach i inwentarzu nie było. Zawezwano inżynierów i pionierów celem rozsadzania zatoru, co jednak okazało się na razie niepotrzebne, gdyż po południu wspomniany zator odpłynął.

Rozmaitości.

Posiadłość Mayerlingu obejmie na powrót klasztor Cystersów, który jej był dawniej właścicielem. Pokój, w którym wydarzył się okropny wypadek, zostanie zamieniony na kaplicę, gdzie w dniu śmierci śp. Cesarzewicza każdego roku odprawiana będzie msza żałobna.

W grobowcach Habsburgów u OO Kapucynów znajduje się 113 trumien, począwszy od Matenasza; z wyjątkiem 3 znajdują się tam wszyscy, między tymi 15 cesarzy, 1 król rzymski, 2 królowe, 27 Arcyksiążąt i 53 Arcyksiężniczek.

Zjawiska W dniu 2. bm. pomiędzy godziną 3 a 4 po południu ukazała się nad widnokręgiem Warszawy piękna i wyraźna tęcza, która jaśniała przez kilka minut. Około godziny 9 wieczorem zauważano świetlaną kulę która przeciągnęła po niebosklonie, to zmniejszając się, to zwiększając. Wędrówka owej kuli trwała parę godzin. Na ulicach Warszawy pełno ludzi przypatrywało się temu zagadkowemu zjawisku. Z Petersburga zaś donoszą, że w nocy z 30 na 31 z. m. obserwowano tam na północno-zachodniej stronie nieba słabą zorzę północną, która zwykle jest zapowiedzią, zbliżających się silnych mrozów. Zapowiedź ta i nam da się jeszcze prawdopodobnie odczuć dotkliwie.

Pellagra. Od pewnego czasu grasuje w nizinach północnych Włoch tak zwana pellagra, choroba powstająca ze złego pożywienia, zwłaszcza chleba wypiekanego z zepsutej mąki kukurydzowej, nieczystej wody i wilgotnych pomieszkań. Choroba objawia się zewnętrznie wysypką skórną, wycieńczeniem sił i kończy się obłąkaniem. Tysiące ofiar pochłania ta epidemia, której zaradziłby mogła jedynie poprawa bytu ludności wiejskiej. Obecnie, jak donoszą dzienniki, pellagra nawiedza licznie i południowe Włochy, zwłaszcza Kampanię i Kalabryę.

Sędziwy wiek. Z Aten donoszą, iż przed tygodniem umarł w wiosce na wyspie Tinos staruszek, liczący 110 lat wieku, a tego samego dnia skonała jego małżonka, która skończyła rok 106-ty. Staruszkowie żyli z sobą lat 87. Sędziwszego wieku jeszcze doczekała stara kobieta nazwiskiem Diamantu, w Magnesii. Ma ona lat 120 i co rana chodzi sama do lasu po suche drzewo, które następnie przynosi na plecach do swej chaty.

Rozespany Jasiek. W czasie okropnej burzy nocnej woła Antek na Jaśka, który spał na strychu:

— Jasiek, schodź czemprędzej na dół!

— A to na co? — pyta rozespany Jasiek.

— Bo straszne grzmoty!

— Tu u góry tak je mogę słyszeć — jak na dole — odrzekł Jasiek, przewracając się na drugi bok.

Korespondencya Administracyi.

Wysłano kalendarze:

Po 10 egzemplarzy, Wp. Cisło sekr. Kółka roln. w Dolinie;

Po 4 egz., Wp. Zaremba, Adamówka; Czytelnia ludowa, Słocin;

Po 3 egz. Wp. Bartłomiej Stablowski, Stronie; Józef Krahl, Rożniata: Zarząd Kółka rolniczego, Burakowce;

Po 2 egz., Wp. Józef Ratun, naczelnik w Nadybach; Swieżawski, Jagielnica: Jan Kurdziel, Krzemienica; Zarząd szkoły w Bogucicach; Pełzaczyński, Grochowe; Zubrzycka, Tarnowiec;

Po 1 egz., Wp. Wojciech Marcharz, Tęgoborze, Woj. Pieczonka, Terliczka; Poczontek, Błażowa; Jan Krawczyk, naucz., Rzegocina; Zawiliński, Brzeziny: Stanisław Jaworski, Wieliczka; Babij w Howiłowie; Józef Kaczka, Jodłowa (ponownie); Jan Bątkowski, Niemirów; Zwierz. gminy Krzeszowice, Wincenty Łabędź, naucz. z Jeleśni; Józef Strzępek z Kalembiny; Zwierzchność gminy w Kośmierzowie; Jan Zając z Piotrowic.

Ceny zboża za 100 kilo bez worka.

Nazwa zboża	Kraków zł. od	Kraków zł. do	Jarosław zł. od	Jarosław zł. do	Lwów zł. od	Lwów zł. do	Tarnopol zł. od	Tarnopol zł. do
Pszenica	6.10	7.50	[illegible]	[illegible]	6.55	7.30	[illegible]	[illegible]
Żyto	[illegible]	[illegible]	[illegible]	[illegible]	[illegible]	[illegible]	5.10	5.35
Jęczmień	[illegible]	[illegible]	[illegible]	[illegible]	5.50	6.76	5.30	6.50
Owies	[illegible]	[illegible]	3.60	6.—	[illegible]	[illegible]	5.25	5.85
Groch	6.—	9.50	5.65	9.50	[illegible]	[illegible]	6.—	10.—
[illegible]	[illegible]	[illegible]	[illegible]	[illegible]	[illegible]	[illegible]	[illegible]	[illegible]
[illegible]	[illegible]	[illegible]	45.—	60.—	[illegible]	[illegible]	[illegible]	[illegible]
[illegible]	[illegible]	[illegible]	40	48.—	[illegible]	[illegible]	46.—	56.—

Za rubla rosyjskiego srebrnego . . . płacą 1 złr. 46 ct.
„ „ „ papierowego . . „ 1 „ 28¾ „
„ markę niemiecką . . . . „ 59 „ — „

Dla prenumeratorów „Niedzieli“

cena kalendarza „Macierzy polskiej“ zawierającego zajmującą część powieściową, obfity dział gospodarski i nader starannie ułożone informacye, zniżoną została na 25 centów. Ponieważ tego kalendarza już tylko kilkaset egzemplarzy się zostało, przeto kto chce korzystać jeszcze z ceny zniżonej, niech zgłosi się jak najrychlej do Redakcyi „Niedzieli“ a kalendarz pocztą otrzyma.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor JAN AMBORSKI.

Z Drukarni Ludowej we Lwowie, pod zarządem Stan. Baylego.